

— Tak. Przyszedł naprawiać zamki.
 — Znasz go?
 — Oczywiście. To Mallard z Reiney.
 — I coż dalej?
 — Nawet pan mi powiedział, pamiętam: „Kiedy Mallard przyjdzie, powiesz mu, że chce z nim pomówić”. Tylko jak Mallard przyszedł o godzinie ósmej, to pan spał jeszcze.
 — Spał jeszcze?
 — I to tak silnie, że budziłem go z trudem.
 — No! No!
 — Mallard nawet powiedział: „Twój pan, Izidorze, musiał się dobrze bawić tej nocy, kiedy z łóżka wstać nie mógł”.
 — Tak powiedział!
 — Tak, panie sędzio. To było we wtorek.
 — We wtorek! Na pewno?
 — Na pewno! Na pewno! — twierdził z przekonaniem Izidor. — Zresztą zapytać pan może Mallarda. Wreszcie to przecież nie jest rzecz tak ważna...
 — Tak sądzisz mój przyjacielu?
 — Tak mi się zdaje.
 — Możesz się mylić, mój kochany i przekonasz się, że tak jest, skoro usłyszysz, co ci powiem teraz...
 — Co takiego, panie sędzio! — szepnął służący, cofając się z niepokojem.
 — Mój przyjacielu, twój pan wychodził wczoraj, a kapitan de Limandoux również wczoraj zamordowanym został. Wychodził z domu we wtorek i w tym to dniu popełniono morderstwo na senatorze Poivier. Zrozumiałeś teraz?
 — Ależ panie sędzio... — próbował coś tłumaczyć służący, lecz sędzia przerwał szybko:

— Nie jesteś mi już potrzebnym. Możesz odejść.

I Izidor zmieszany i niespokojny, wysunął się z gabinetu, kłaniając się panu Giroux niezgrabnie.

Klientka.

Kiedy ukoficzyłem czytanie tego sprawozdania, umieszczonego w „Burzy”, była już godzina trzecia. Nie wiedziałem co czynić dalej, bo Dalton odchodząc, nie pozostawił mi żadnego zlecenia. Po długim namyśle postanowiłem udać się do niego, zasięgnąć wiadomości i już wstałem, aby zadzwonić na służącego, kiedy tenże wszedł z własnej woli i podał mi list.

— Skąd to? — zapytałem zdziwiony.

— Nie wiem, proszę pana. Przyniósł go jakiś groom.

Rozewałem kopertę i przeczytałem:

„Czekam na ciebie w mieszkaniu. Przychodź zaraz — Paweł”.

W kwadrans później znajdowałem się już na ulicy d'Assas.

Przyjaciel mój wydawał się podniecony, co było a niego rzeczą bardzo rzadką. Jak tylko wszedłem, podał mi list otwarty.

— Czytaj...

— Co to?

— To jest list, który doszedł do mnie za pośrednictwem „Burzy”.

— Za pośrednictwem „Burzy” — powtórzyłem zdumiony.

— Czytajże, to zrozumiesz — zniecierpliwił się Dalton.

List był adresowany do pana Igglus:

„Proszę pana — brzmiała treść jego — o naczenie mi dziś jeszcze widzenia. Adresuję list ten do „Burzy”, sądząc, że tym sposobem dojdzie do pana. Cały dzień oczekiwać będę odpowiedzi w Grand-Hotelu, gdzie zająłem się.”

Z poważaniem — Marta de Beaumont”.

— Coż ty zamierzasz teraz uczynić? — zapytałem Daltona.

— Odpowiedziałem natychmiast, że oczekuję pannę de Beaumont. Przybędzie tu zaraz, ale zdaje mi się, że mamy jeszcze przed sobą kilka minut spokoju. Skorzystałem z nich, aby się porozumieć z tobą. Trzeba ci wiedzieć, że teraz dopiero wchodzimy w okres prawdziwej walki. Być może, że będziemy niekiedy zmuszeni rozłączyć się w ciągu tej walki. Ale co bądź się stanie, musisz wypełnić misję ci powierzoną. Powracać zawsze będziesz tutaj, na ulicę Assas, gdzie będzie nasz punkt zborny i czekać będziesz albo na mnie, albo na człowieka przyslanego przezemnie. Czy zgadzasz się na to?

— Oczywiście.

— Wrócisz tutaj zawsze, cokolwiek zajdzie?

— Wrócę.

— Dobrze — odpowiedział Dalton.

W tej chwili zadzwieczał dzwonek przy drzwiach.

— To ona — szepnął mój przyjaciel, zrywając się.

Służący wszedł, oznajmiając, że panna de Beaumont prosi o chwilę rozmowy.

— Proś tutaj.

Po chwili weszła panna de Beaumont w ciężkiej żalobie. Była wysoka, smukła, ruchy miała poważne i wytworne.

C. d. n.

ALFONS DAUDET.

BANDYTA GUASTANA

Rozpoczęto grę t. zw. „Scopa”, która zajęła całą uwagę Guastana i Matea. „Scopa” jest to gra wynaleziona jedynie dla Korsykanów; cicha, tajemnicza, pełna chytrych i szpiegostwa. Obserwowałem obydwoh graczy, siedzących naprzeciw siebie, którzy starali się nawzajem podejść i oszukać. Karty trzymali tak zrećnie, że żaden nie zdołał dojrzeć, co drugi ma w ręku. Z największym zajęciem przypatrywałem się starciu Guastana, światło świecy padało na twarz jego, widziałem, że podobny zupełnie do fotografii danej mi przez prefekta; miał nawet na sobie ten sam surdut i kamasze, ponad kolanami splecione sprzączkami miedzianymi. Dostrzegłem również to, czego fotografia oddać nie może, to jest przepaloną od słońca brązową skórę twarzy, na zwyczajną żywość wszystkich jego ruchów, co zadziwiałem było w jego wieku. Dalej głos chropowaty i silny, do jakiego zwykle przyzwyczajają się ludzie, którzy żyją w samotności. Mateo miał o wiele zrećniejsze, rzeczy można, zgrabne ruchy. Siedział on po drugiej stronie stołu, patrząc spokojnie oko w oko człowiekowi, którego zamierzał zdradzić. Ani na chwilę nie okazał zakłopotania i sumienia nie robiło mu wyrzutów o to, co zamierzał uczynić.

Upłynęło w ten sposób blisko dwie godziny. Zaledwie zdołałem się utrzymać, aby nie zasnąć w tym zaduchu tytoniowym i przy jednostajnych wykrzyknikach graczy, „Dette seittel Dett otte!”. Tedy owe oczy mi się zamykały, lecz zbudził mnie zawsze nowy poświst wiatru, grożący zdmuchnięciem świecy.

Nagle Bruccio począł warczeć, poczem wybuchnął zajadłym głośnie czekaniem. Jak gdyby do boju uderzono, powstał nagle zgłęb w izbie. Stary Guastana wyszedł za drzwi, lecz wrócił coby prędzej, zaklął głośnym głosem, porwał za strzelbę stojącą w kącie, narzucił ją na ramię i jednym skokiem wypadł z domu. Mateo i ja spoglądaliśmy na siebie ze zdumieniem, kiedy do chaty wpadło dwunastu żandarmów z odwiedzionymi kurkami i nabitej broni, wołając:

— Poddajcie się!

Zanim zdołaliśmy się zorientować, już nas pochwycono, powalono na ziemię i skrupowano. Chciałem powiedzieć, kto jestem, jak się nazywam, nie słuchano mnie, odpowiadając:

— Już dobrze! dobrze! do tłumaczenia się będziecie mieli dosyć czasu, gdy do Bastii przybędziemy.

Popychając kolbami, wypchnięto nas za drzwi,

a za najmniejszy opór bito pięściami w piersi. W bliskości chaty czekał wóz więzienny, na jakim zwykle zbrodniarzy transportują; było to obrzydliwe, cuchnące pudło. Po obu stronach wozu ustawili się żandarmi z dobytymi pałaszami i tak dość prędkim krokiem wieziono nas do Bastii.

Co za zbytek siły zbrojnej, aby transportować bezbronnego radcę prefektury!

Kiedy przybyliśmy do Bastii, był już dzień biały. Zachwycający obraz przedstawił się moim oczom, gdy nas przywieziono na dziedziniec więzienny. Cesarski prokurator, szef żandarmeryi i dyrektor więzienny stali, czekając niecierpliwie rezultatu wyprawy.

Wysadzono nas nareszcie, lecz jakież było zdziwienie wachmistrza żandarmeryi, który mnie z tryumfem oddał swemu szefowi, gdy widział, że cesarski prokurator sam i wszyscy inni panowie własnoręcznie odwiązywali me pęta, przeprasząc i prosząc o przebaczenie.

— Czy to być może, panie baronie, że to pan jesteś? Coż te wartogłowy za głupstwo popełnili? Jakże się to stać mogło? — zapytaniom nie było końca.

Wkrótce wyjaśniła się cała sprawa. W niedzielę odebrał prokurator w Bastii telegraficzną depeszę z Porto Vecchio z uwiadomieniem, że bandyta Guastana jest obecnie w wiosce Solenzara. Szczegóły, wyrażone w depeszy, brzmiały tak stanowczo, że zdawały się nie ulegać najmniejszej wątpliwości.

To jedno słowo *Porto Vecchio* naprowadziło mnie na domysł prawdziwy.

— Od kogo odebrałeś tę depeszę, czy od swego pomocnika? — zapytałem.

— Tak jest, od niego samego, jest to bardzo zaufania godny i pracowity młodzieniec — dodał prokurator.

— O Boże! zaufania godny! — pomyślałem — mógłbym i ja coś o tem powiedzieć.

— Nie doniesie on mi nigdy nic takiego, o czem nie jest mocno przekonany; przez myśl nam nie przeszło, abyś pan mógł być tam w tych stronach na polowaniu i abyś mógł nocować u krewnego osławionego bandyty. Pomimo woli zgotowaliśmy panu tak nieprzyjemną noc, a toli znając twoją moc ducha, sądzę, że nie będziesz sobie pan brał tego do serca. Czy mogę się spodziewać, że nie masz mi pan tego za złe? A teraz mam honor prosić pana, abyś zechciał zjeść u mnie kolację. Panie wachmistrzu — mówił, wskazując na Matea — odprawdź pan tego człowieka, później go przesłuchamy.

Nieszczęśliwy Mateo był na pół martwy z przestyrachu, rzucał on na mnie spojrzenie aż nadto wymowne, że nie zasługuje na takie postępowanie.

Nie mogłem tedy zrobić inaczej, jak wyjaśnić całą sprawę, że prawdziwy winowajca uszedł żandarmom. Wziąłem na bok prokuratora i opowiedziałem mu rzecz całą szczegółowo. Gdy słuchał mego opowiadania, widoczna w nim zachodziła zmiana; znikła z jego twarzy wszelka okazywana mi wpięrw życzliwość, a natomiast pojawił się zimny, nieprzystępny radca sprawiedliwości.

— Możesz pan łatwo pojąć — odezwał się wreszcie — że na prefekturę jestem rozgniewany. Mając jednakże w mym ręku krewnego Guastana, nie myślę wcale wypuścić go stąd. Będzie on poprostu wraz z towarzyszami donosił bandycie proch i żywność, a temu trzeba raz koniec położyć.

— Ależ panie prokuratorze, ja panu zaręczam, że ten człowiek działał z polecenia prefektury! — odrzekłem.

— Jeżeli tak, tem bardziej go nie uwolnię. Pokażę tym panom urzędnikom rządowym, że ta sprawa wyłącznie do mego wydziału należy. Niech się nie mieszają do rzeczy, do których absolutnie najmniejszego nie mają prawa. Jakto, na całej Korsyce tylko jedyny bandyta się znajduje i tego mi pozazdrośczone? To moja zwierzyna! Pan, jak widzę, jesteś także myśliwym — mówil dalej ironicznie, spoglądając na moje myśliwskie uzbrojenie — czybyś pan zniósł spokojnie nieprawne wdzieranie się w twe myśliwskie prawa, panie radco?

Powtórzyłem już niejednokrotnie pafiskiemu prefektowi, że ja sam schwytam chęć bandytę Guastana, a nie kto inny. Jeżeli on jest uparty, to i ja postąpię wedle obowiązków mej służby. Wasz ukochany Mateo pozostanie tymczasowo pod strażą, prefektura może go reklamować. Najlepiej wyjdzie na tem sam bandyta, gdyż ta sprawa dojdzie do jego uszu i będzie się strzegł odtąd tak swego krewnego, jak prefektury i jej myśliwych.

Stało się, jak przepowiedział ten człowiek, który chyba z dyablem był w spółce. Po upływie miesiąca zarządzono śledztwo i wezwano prefekturę.

Sekretarz jenerałny i ja mieliśmy miły obowiązek reklamowania szpiega, a nadto ja musiałem wobec całego forum sądowego opowiedzieć całą awanturę, która mnie spotkała. Można sobie wyobrazić, jak się słuchacze moim kosztem bawili.

Radca prefektury, wieziony pod eskortą w wozie więziennym! — słowem zrobiliśmy fiasco.

Mateo został uwolniony, lecz na nic nam się to już zdało, gdyż Guastana, dowiedziawszy się już o zamierzonej zdradzie, strzegł się już swego krewnego i wreszcie opuścił zupełnie ziemię rodzinną.

KONIEC.